

Znajomy Żyd przysiada się do mnie na ławce w Ogrodzie Krasińskich i pyta, dlaczego jestem taki smutny.

— Graetz umarł — wyjaśniam mu.

Błogosławiony niech będzie Sędzia Sprawiedliwy! — powiada Żyd, i zaraz dodaje — Tutejszy?

Problem polega na tym, że dziewięćdziesiąt procent Żydów zadałoby na jego miejscu to samo pytanie. Świadczy to o tym, że znaleźliśmy się na samym dnie przepaści. Żydowska Warszawa nie wie, kto to był Graetz. W umysłach ludzi z Nalewek nie ma miejsca dla niego. Nie znalazł się na językach ludzi z Wałowej. Nie mówi się o nim nadal na arystokratycznym Grzybowie.

Żeby Warszawa szumiała od sensacji, nie trzeba koniecznie przegrać żony czy dziecka w karty albo wleźć na słup ujazdowski. Wystarczy być szkapą dorożkarską, która padła na szynach tramwaju.

— Tu nie wystarczy być Graetzem. Tu nie wystarczy napisać historii narodu żydowskiego.

Kiedy mój sąsiad dowiaduje się ode mnie, co Graetz napisał, dopiero wtedy reaguje.

— Aha! Historię! — mówi to takim głosem, jakby podziwiał faceta, który za jednym zamachem zjadł dwanaście jajek na twardo. A kiedy ja z wściekłości o mało ze skóry nie wyskakuję, pyta z

głupia frant:

— A co się ma z tej historii?

— Czy pan jest Żydem?

— Tak mi się wydaje.

Mówi to ze szczególnym uśmiechem na twarzy, który ma znaczyć:

Chyba większym niż ty.

— A lubi pan Żydów?

— Ajakże! Mam ich nienawidzić?

— Czy wie pan, że Aleksander Macedoński napotkał na swoim wojennym, pełnym zwycięstw szlaku państwo rządzone przez same kobiety?

— Co za pytanie? Czytałem o tym albo słyszałem od mojego rebego w chederze.

— Czy wie pan, kiedy Królestwo Izrael oderwało się od Królestwa Dawida? Czy wie pan, kiedy z jednego narodu żydowskiego powstały dwa narody?

— Kiedy? Po co mam wiedzieć kiedy? Rzecz jest przecież gdzieś opisana.

— I co się stało z Królestwem Izrael?

— Z Królestwem Izrael? Też mi pytanie. Sprawa jasna. Znajduje się za rzeką Sambation.

— A gdzie się podzieli Żydzi wypędzeni z Francji?

— A gdzie się mieli podziąć? Część z nich zapewne opuściła Francję, a cała reszta ukradkiem wróciła do niej. Też mi pytanie!

— Czy wie pan, jak cierpieli i jak cierpią po dziś dzień Żydzi w Persji i w Rumunii?

— Co do Persji to nie mam pojęcia. O Rumunii zaś stale mówi się w bóżnicy. Wiadomości czerpię z gazety „Hacefira”. Włosy dęba stają!

— O „kreuz-zugach” słyszał pan?

— Proszę mi zadać łatwiejsze pytanie.

— Nie zna pan niemieckiego?

— To jest po niemiecku? No to brak mi jednego słowa.

— A o „Nose-haceław”?

— A to znów co za język?

— Święty język hebrajski. Widzę, że nie ma pan pojęcia, ile tysięcy Żydów zginęło za sprawą tych krzyżowców. Całe gminy uległy zagładzie.

— Pan zapewne ma na myśli rok 1648, czasy Chmielnickiego.

— O Żydach w Maroku wie pan coś?

— W Maroku? Nie, nie wiem.

— A chciałby pan wiedzieć?

— Ba! Wiedzieć! I co tam w Maroku takiego szczególnego? Inne jakieś zmartwienia? W inny sposób tam się rzeczy dzieją? Wierz mi pan, wszędzie jest tak samo. Świat jest wszędzie taki sam. Dziękuję Bogu, że udaje mi się od czasu do czasu o tym zapomnieć. (Po krótkiej przerwie): Proszę mi lepiej powiedzieć, a pan wie, bo czyta gazety: Co tam słyhać nowego?

— Nie — powiadam do mego sąsiada — pan nie kocha Żydów.

— A to niby dlaczego? Dlatego, że nie daję pieniędzy? Po prostu nie mam. Niemcy mają, to dają!

— Nie to mam na myśli! Widzi pan, taka już jest natura człowieka, że chce wiedzieć o

wszystkim, co się tyczy jego bliźniego, krewnego. Kiedy spotkasz na przykład dawno nie widzianego krewnego, zasypujesz go zwykle pytaniami. A to jak mu się przez ten czas powodziło, co przeżył. Jak tam żona, co porabiają dzieci i tak dalej. Jeżeli ktoś z rodziny chorował, to chcesz wiedzieć, na co chorował, czy bardzo cierpiał, jak długo trwała choroba. Jaki lekarz lub znachor pomógł mu. Jeżeli był to lekarz, to czy buteleczka była czerwona, czy też zielona albo biała. Jeśli znachor, to czy tylko coś powiedział, czy też spowił go dymem. Nie chodzi tu tylko o takie właśnie poważne sprawy. Widzi pan, na przykład, na swoim znajomym nowe ubranie. Chce pan wiedzieć, ile zapłacił za metr materiału. Ile kosztował krawiec. Podnosi pan poły marynarki i sprawdza, czy czasem nie oszukał go na podszewce.

— Prawda! Nie mogę zaprzeczyć! — powiada z uśmiechem na twarzy Żyd.

— No widzi pan, wpadam w nastrój zwycięzcy. Ma pan braci na całym świecie i nie chce pan niczego wiedzieć o tym, co się z nimi dzieje. I to, że pańscy bracia od tysięcy lat znoszą cierpienia, nie interesuje pana. Nie chce pan wiedzieć, co się z nimi przez te lata działo. Z tego wynika, że odmawiając błogosławieństwa z okazji „Rosh-chodesz” wkłada pan w słowa: „cały naród żydowski to bracia” tę samą intencję co w słowa: „na przyszły rok w Jerozolimie”.

— A ja mimo to czuję, że kocham Żydów.

— Myli się pan.

— Słowa bez pokrycia.

— Udowodnię panu, proszę mi tylko odpowiedzieć szczerze na kilka pytań.

— Proszę.

— Kocha pan swoich krewnych?

— Nie wszystkich.

— Dlaczego nie wszystkich?

— Nie rozumiem pańskiego pytania. Jeśli na przykład taki mój krewniak otworzy sobie sklep, z tym samym towarem, obok mego, jakby innych interesów na świecie nie było. Jeśli taki krewniak wchodzi mi w drogę, odbiera mi klienta i wydziera mi niemal z ust mój własny kęs chleba, to ja mam go kochać? Albo, powiedzmy, mam krewniaka ze strony żony. A ten jest pijakiem, bezbożnikiem profanującym świętą sobotę, to co? Mam go kochać?

— A oprócz nich?

— Oprócz nich to pozostałych i znanych mi krewnych kocham.

— A tych, których pan nie zna?

— Nie mam pojęcia. Mam na przykład kuzyna w Ameryce, którego nigdy na oczy nie widziałem.

— To go pan zapewne... — naciskam na niego.

— Nie mogę powiedzieć, że go nienawidzę, ale kochać go też nie potrafię.

— A w ogóle to Żydów pan zna?

Mój sąsiad poczuł się jak mysz w pułapce, która miota się tam i z powrotem.

— Nie ma co — powiadam — pan ludu żydowskiego nie kocha. Nie ma pan zresztą o nim najmniejszego wyobrażenia. Zupełna pustka. Jak dziura w obwarzankach. A czym pan handluje?

— Artykułami spożywczymi — jego odpowiedź tchnie smutkiem.

— Na świecie żyje pan już chyba z pięćdziesiąt lat.

— Czterdzieści pięć.

— Niech będzie czterdzieści pięć. W swoim życiu zdążył pan poznać około dwustu Żydów. Połowę z nich może pan lekką ręką wrzucić do wody. Mam na myśli tych, którzy nie są pobożni, gubią się w modlitwach, nie mówiąc o tych, co w ogóle się nie modlą... Bezbożnicy! Tylko ich w ogień! Część z pozostałych bierze pan w garść i "trach" o ścianę. Z jednym procesuje się pan. Drugi to konkurent. Załazi za skórę. Trzeci gdzieś kiedyś wyraził się o panu brzydkim słowem. Czwarty dłużny jest panu forszę. Żona piątego pokłóciła się z pańską połowicą. Pozostałą resztę, być może, kocha pan.

Żyd zaczyna się zastanawiać, a ja kuję żelazo póki gorące...

— Kochać to znaczy w pierwszym rzędzie znać. Kochać lud żydowski znaczy być przywiązany nie do dwudziestu, trzydziestu Żydów, ale do całego długiego łańcucha wszystkich minionych pokoleń oraz do współczesnej generacji rozsianej i rozproszonej po całym świecie. Naród to jakby stożek...

— A to znowu co takiego?

— Jakby to powiedzieć. Taka znana nam głowa •— cukru. U góry, na samym czubku, nasz praojciec — Abraham. Im niżej w dół, tym bardziej się rozszerza. Nasza „głowa cukru” niezupełnie przypomina stożek. W środkowej części są miejsca wygrzione przez myszy albo wypłukane wodą. Im niżej, tym widoczniejsze są pęknięcia i deformacje. Między różnymi naszymi częściami przepływają wody, ciągną się stepy, rozpościerają się kraje. Kochać Żydów, znaczy kochać całą formę, cały kształt. Kochać znaczy: wszystko wiedzieć, wszystko znać, wszystko mieć w sercu, w głowie, we krwi!

— Nie ma co — powiada po namyśle mój sąsiad — bardzo to jest interesujące.

— To jest więcej niż interesujące. To jest konieczne. To jest jeden z fundamentów, na którym stoi całe żydostwo. To jest ta „głowa cukru”. Widzi pan, jesteśmy starym narodem, ale pod tym względem wiele znacznie młodszych narodów przejawia większą od nas mądrość. Nie tylko narody europejskie, które piszą, czytają i uczą się historii. Nie tylko starożytni Rzymianie i Grecy, te dwa wykształcone narody, które strzegły swojej historii, jak żrenicy oka. Nie tylko Egipcjanie i Persowie, i Medowie, którzy swoją historię wryli w kamieniu, w ścianach i w piramidach, ale nawet zupełnie dzikie ludy zrozumiały, czym jest historia.

Dzikie plemiona w Afryce i Ameryce chodzą jeszcze nago, jak Adam i Ewa w raju. Noszą dla ozdoby kolczyki w nosie, bransolety ze skóry na nogach, rogi lub skrzydlate pióra na głowie. Pokrywają swoje ciała tatuażami i smarują je błyszczącym tłuszczem. Ale nawet i one wiedzą, że historia jest im potrzebna. Mężczyźni z owych plemion nieprzerwanie zajęci są to wojnami, to polowaniem, to rybołówstwem. W związku z tym kobiety muszą przechowywać w pamięci to wszystko, co plemię przeżyło. Muszą też przy nadarzającej się okazji opowiadać to wszystko.

— A może to taki zwyczaj u bałwochwalców?

— A Tora, czyż ona nie zaczyna się od historii?

— Na tym właśnie polega.

Gorzka historia

Wpisany przez Reb. Janusz Baranowski

Piątek, 22 Czerwiec 2018 00:00 - Zmieniony Czwartek, 03 Maj 2018 11:48

— A jednak do czego nam potrzebna historia?

— Ma pan dzieci? — Odpowiadam pytaniem na pytanie.

— Jak Bóg przykazał.

— Kto według pana jest mądrzejszy? Pan czy pańskie dziecko, które wchodzi dopiero w świat?

Żyd poważnieje.

— Jajka zawsze twierdzą, że są mądrzejsze od kury.

— A co mówią na to kury? Czy pan zgodzi się powierzyć sześciolletniemu chłopcu swój majątek czy sklep?

— Jasne, że nie. Jeszczem nie zwariował.

— Dlaczego nie?

— Musiałbym od razu przygotować sobie torbę żebraczą.

— A cóż to? Czy sześćioletni chłopiec nie potrafi prowadzić interesu?

— Wiadomo, że nie. Brak mu praktyki.

— Dlatego chyba nie wydaje się nowożeńcom od razu całego posagu. W handlu bowiem trzeba mieć praktykę. Młodożeniec stawia dopiero pierwsze kroki.

— Słusznie! Tak właśnie jest!

— Dla takiego młokosa trzeba znaleźć doradcę. Trzeba znaleźć starszego wspólnika.

— Myślę, że tak. Czy pan sądzi, że prości Żydzi nie mają rozumu?

— Uchowaj Boże! Wcale tak nie sądzę. Proszę mi tylko powiedzieć: czy z biegiem lat nie wyrastają dzieci na ludzi?

— Oczywiście! Kiedy poznają trochę świat, nabierają praktyki. Zaczynają rozróżniać między tym, co jest dobre, a tym, co jest złe. Słowem, wychodzą na ludzi.

— A więc widzi pan. Pewien filozof powiedział kiedyś, że dzień wczorajszy jest nauczycielem dnia dzisiejszego.

— Do tego potrzebny był filozof? Każdy chłopak z chederu już wie, co to znaczy praktyka {wzdycha}. Świat to bardzo kosztowny nauczyciel.

— Do praktyki potrzebna jest, wydaje mi się, pamięć.

— Z całą pewnością.

— A jeśli zdarzy się, że ktoś po tyfusie wszystko zapomniał?

Wtedy jest krucho. Trzeba zacząć od nowa, od samego początku.

— Taka rzecz przydarzyła się właśnie reb Szoszenesowi:

— A jak się ma rzecz z takim, co uchowaj Bóg, w ogóle nie ma pamięci, co się już urodził bez pamięci?

— Czy to jest możliwe?

— Są przykłady.

— Wtedy to już gorzej być nie może. Taki człowiek bez pamięci nie potrafi się niczego nauczyć. Nigdy nie zmądrzeje. Gdyby nawet dożył wieku Matuzalema. Bez pamięci, znaczy bez praktyki.

— A sześciolatek obdarzony pamięcią chłopczyk może być mądrzejszy od niego?

— Oczywiście!

— A więc widzi pan! Trzeba panu zrozumieć, że nie tylko człowiek, ale również naród musi posiadać pamięć. A pamięć narodu to właśnie historia. Bez historii naród, tak samo jak

pojedynczy człowiek, nie może osiąść mądrości. Nie może stać się lepszy. A skąd ma naród brać praktykę? Skąd ma w czas próby czerpać wiarę, ufność i radę. Co by to było, gdyby każde pokolenie zostało odcięte wraz ze swoimi zaletami i wadami, radościami i kłopotami. Co by to było, gdyby zostało wyrzucone z pamięci potomnych.

— Faktycznie — powiada Żyd — w czasy próby, w niebezpieczeństwie, tracimy głowę. Stajemy się jakby stadem baranów. Kto chce, ten „przyprawia sobie rogi”. Zwykły tryk staje się rzecznikiem ogółu.

— Niech pan mnie posłucha i kupi Graetza.

— A pieniądze?

Na to już nie miałem odpowiedzi.